

W KRUCHCIE

Pierwszą wystawą niezależną, przy której coś robiłam, był „Znak Krzyża” w parafii Miłosierdzia Bożego przy ul. Żytniej w Warszawie, w 1983 r. Jak chciał jej twórca, Janusz Bogucki, nie należało używać nazwy „wystawa”, gdyż miały to być – jak wszystkie późniejsze jego przedsięwzięcia – „spotkania ze sztuką”; zresztą słusznie, bo obok prezentacji dzieł plastycznych odbywały się tam spotkania dyskusyjne, koncerty, filmy, spektakle Teatru Ósmego Dnia.

Bogucki chciał, żeby to wszystko było dla organizatorów i uczestników przede wszystkim przeżyciem duchowym. Dlatego wcześniej organizował nam dni skupienia w Laskach, gdzie wysłuchiwaliliśmy różnych konferencji; zapamiętałam konferencje m.in. o Jacka Salija. Przy „Znaku Krzyża” współpracowali, oprócz Niny Smolarz, współtwórca filmu *Robotnicy '80*, Andrzej Zajączkowski, i Janusz Lipiński. Magda Hniedziewicz i ja miałyśmy działkę plastyki, ale w tym potężnym „kotle” robiłyśmy różne inne rzeczy. Pamiętam, jak kilka godzin przed otwarciem jechałam ciężarówką po krzesła do Szkoły Rolniczej na Ursynowie. Moim głównym zadaniem było zwożenie prac od artystów samochodem Zachęty, w godzinach pracy. Nasi kierowcy mieli oczywiście świadomość, w czym uczestniczą, ale żaden nie pisał słowa. Podobnie pracowali ze mną przy wystawie Marka Rostworowskiego „Niebo nowe i ziemia nowa?”, też na Żytniej, w 1985 r.

W różne prace angażowali się też parafianie. Proboszczem był wtedy ks. Wojciech Czarnowski, młody i energiczny, który budował podziemny kościół. Dawny, spalony w Powstaniu, był do połowy zawalony gruzem, a budynki parafialne – w stanie surowym. Wszystko to łączyło się w ciąg pomieszczeń, pełnych pyłu, który trzeba było ciągle zamiatać. Ksiądz Wojciech był otwarty na wszystko, ale zawsze pilnował, żeby wcześniej zamierzenia artystyczne akceptował komitet parafialny, z którym miewaliśmy niekończące się rozmowy. Czasem s. Agnieszka gotowała wspaniałe obiady dla nas – robotników, ale na głodnego zawsze czekało w baraczkach „danie prymasowskie”, czyli chleb z dżemem jabłkowym. Ksiądz Wojciech opowiadał, że prymas Stefan Wyszyński był tym właśnie na Żytniej podejmowany.

Wystawy Boguckiego, a robił ich jeszcze kilka, miały charakter prawdziwie religijny, czego chyba nie można powiedzieć o większości wystaw „przykościelnych”. I jakkolwiek w przeciętnej produkcji tych lat dominował żywioł pobożny i patriotyczny, aspekt religijny tych wystaw był chyba dla większości uczestników na najdalszym planie. Pomijam to, że miały w nich niebagatelny udział osoby zupełnie niewierzące. Kościół, poza domem, był wtedy jedynym miejscem wolności. A jak to było potrzebne, wiedzą tylko ci, którzy doświadczyli jej utraty 13 grudnia.

Dlatego miałam wrażenie, że osoby uczestniczące w tym ruchu działają w jakimś uniesieniu. Anonimowo, poświęcając wszystko inne, czasem ryzykując.

Przez kilka lat wiosną Magda Hniedziewicz organizowała na Żytniej wystawy „Obecność”, na zasadzie otwartych drzwi, co kto przyniósł, to wisiało. Nasi najwybitniejsi, ignorując potworne warunki ekspozycyjne, też dawali chociaż po jednej pracy, żeby zaznaczyć, po której są stronie. Wielu artystów przywiązało się do tego miejsca. Było wiele innych

wystaw, przy których zawsze można było liczyć, że pojawią się artyści – wolontariusze, nie-szczędzący czasu dla jakiejś roboty, która akurat była do zrobienia, w czym m.in. celowały Teresa Putowska i Krysia Paniakowska. Kiedy już ruch wystaw niezależnych zamarł, zdarzało mi się spotykać na Żytnej ludzi z dawnych czasów. Poznałam tam wiele wspaniałych osób, z nieodżałowanym Olesiem Wołyńskim na czele, który mimo słusznego wieku śmigał po drabinie aż miło. O swojej niezwyklej przeszłości w ZSRS napisał później wspólnie z Ewą Berberysz książkę *Głos z Gulagu*.

Te wszystkie wystawy służyły niewątpliwie „pokrzepieniu serc”. Zwiedzający reagowali cudownie. Niestety, nikt frekwencji nie liczył. Dyżurowanie też było raczej symboliczne, bo to duże przestrzenie. Pamiętam, że ukradziono „Wilki” Janka Rylkego; sama bym je ukradła.

Żytnia była pod wieloma względami wyjątkowa, ale we wszystkich większych miastach działały się ciekawe rzeczy. Na mnie wielkie wrażenie zrobiły dwie edycje Krajowego Biennale Młodych „Droga i Prawda” w kościele Świętego Krzyża we Wrocławiu. Ogromna impreza. Wiele wystaw inicjował Komitet Kultury Niezależnej, chociaż były nie mniej liczne inicjatywy „oddolne”, czasem skromne, aczkolwiek dla ludzi bardzo ważne. Pamiętam, że na prośbę osób z „Solidarności” z Rzeszowa przygotowaliśmy w Zachęcie wystawę malarstwa, która krążyła gdzieś tam po wiejskich kościołach.

W ruchu wystaw niezależnych spełniły się przewidywania Boguckiego, który już w latach siedemdziesiątych przekonywał, że miejsce sztuki współczesnej jest poza galerią, poza oficjalną instytucją kultury – w domu, w kościele, na otwartej przestrzeni. I miał rację, jeśli popatrzy się dzisiaj na to, co robią na billboardach grupa Twożywo (przez ź!) czy toruńska Galeria Ruzs; także na rzeźby (ale nie pomniki) i malarstwo w przestrzeni miasta. Jak bardzo zmalał prestiż wielkich galerii.

Po 1989 r. dość szybko pojawił się zwyczaj mówienia czy pisanie z lekceważeniem o wystawach „przykościelnych”. Tymczasem proporcja dzieł przeciętnych i dzieł wybitnych w naszym życiu artystycznym wcześniej i później była taka sama. Pomijam fakt, że artyści mogli przeżyć moment refleksji, czasem bardzo głębokiej. Co możemy o tym wiedzieć? Chyba chodziło głównie o to, żeby powiedzieć: *Ars longa, WRONa brevis*.



Fot. P. Życieński

Wystawa „Znak Krzyża”, Warszawa – Żytnia 1983 r.